

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felician Dulski.

3

(Ciąg dalszy).

Wolfgang wyczekiwał przywitania, a bodaj przelotnego spojrzenia, ale Ellinor przystąpiła do hrabiego de Rivalier i podając mu rękę, przemówiła doń kilka słów uprzejmie, udając, że Wolfganga nawet nie spostrzegła. W pierwszej chwili pocieszył się Wolfgang tą myślą, że Ellinor spełniła tylko obowiązek grzeczności dla nowego gościa, lecz wkrótce zwrócił się ku niemu i z nim także kilka słów zamieni, uzupełniając rozmowę bodaj jednym z tych strzelistych spojrzeń, które na niego w bibliotece rzuciła.

Zawiódł się. Ellinor ani nie przemówiła, ani nie spojrzała, uśmiechała się tylko do hrabiego coraz poufalej, wreszcie ujęła go pod ramię i zasiadła z nim przy stole. Wolfgang skamieniał i tak dalece się zapomniał, że stał na sali osłupiały, nie siadając do stołu. Z odrętwienia ocucił go rubaszny głos Dossenaua.

— A siadajże doktorze do stołu, bo wszyscy patrzą na ciebie z podziwem. Doskonale mi się udało, bo wyznaczono panu miejsce obok mnie.

To rzekłszy — ujął Wolfganga pod rękę i posadził przy sobie.

— Muszę w tej chwili udawać lekarza — szepnął Dossenau — bo widocznie trzeba cię leczyć panie doktorze. To nie zdrowo przepełniać sobie głowę i serce smutnymi wrażeniami, gdy się ma zjeść dobry obiad.

Wolfganga drażniły słowa sąsiada, a jeszcze bardziej rubaszność sarkastyczna. Nic nie odpowiedział, tylko spoglądał w stronę Ellinory. Siedziała z hrabią, prawie naprzeciw niego i mogła być, bez zwracania na siebie uwagi, bodaj raz spojrzeć na doktora. Ale i teraz udawała, że go nie widzi i rozmawiała z hrabią bez przerwy, z widocznym przymileniem, a nawet ze znaczącą poufalskością. Zrazu rozmawiali głośno o rzeczach obojętnych, o teatrze, o koncertach, o życiu wielkomiejskim, aż z wolna zmieniać się zaczął przedmiot rozmowy, bo już nie mówili, ale szeptali do siebie.

Wolfgang męczył się, siedział przy stole jak na torturach i zbierał wszystkie siły, aby nie okazać po sobie, co się w nim dzieje. Chociaż rozmowa z Dossenauem była dlań dotąd czemś uciążliwym i nie miłym, teraz wydała mu się bardzo pożądaną i pragnął rozprószyć nią te męczarnie, których doznawał. Sam więc rozpoczął rozmowę:

— Czy pan zna hr. de Rivalier?

— Bardzo mało i bardzo dobrze. Mało — bo nie miałem z nim żadnej styczności, ale znam go też bardzo dobrze z tego, co widzę i co o nim słyszę. Piękny mężczyzna, co? Ej, nie łatwo taki drugi się znajdzie. Niema się czemu dziwić, że kobiety lgną do niego, że je bałamuci tuzinami. Przy tem elegancki człowiek, a umie żyć i życie sobie uprzyjemniać.

— Pan Mühldorfer przedstawia go jako serdecznego przyjaciela swojej rodziny.

— Tak, tak — serdeczny przyjaciel, ale w przyszłości, o co Mühldorfer bardzo się stara. Dotychczas hr. de Rivalier nie obracał się w towarzystwach kolejowych królów i przemysłowców w rodzaju Mühldorfera.

— Spostrzegam, że pan wciąż lekceważąc wyraża się o właścicielu tego zamku, a przecież uważał pan za właściwe przyjąć u niego gościnnie.

— Bardzo uczciwie pan pytasz; to mi się nawet podoba i dlatego powiem panu zupełnie szczerze. Gościem Mühldorfera nie byłbym nigdy, a że tu jestem, to tylko dlatego, że mnie interes zmusza. Miałem załatwić sprawę pieniężną z Mühldorferem i po to tu przybyłem, a za to, co pan gościnnie nazywasz, zapłaciłem drogo i jeszcze zapłacę. Nie rozumiem wcale, dlaczego to pana drażni, gdy mówię o ludziach szczerze i otwarcie, aby pana powstrzymał od złudzeń. Czy pan sądzi, że Mühldorfer z popędów szlachetnej gościnności zastawia tu stoły? Panie doktorze! porzuć pan tę uczciwą naiwność. Tych wszystkich, których pan tu widzisz — ściągają do siebie Mühldorfer po to, aby uczynić z nich albo współników, albo ofiary swojego przemysłu.

— Czy hr. de Rivalier ma być współnikiem, czy nie?

— Zdaje mi się, że będzie i jednym i drugim. Zależy od tego, kto odniesie zwycięstwo: czy przebiegły dyplomata, czy bezczelny krętacz. Zdaje mi się, że tu nikt nie zwycięży i że obaj wzajemnie się oszukają.

— Za mało znam stosunki, ażebym mógł zrozumieć to, co pan mówi.

— Pomogę panu, pomogę, nawet pomóż mi — żebyś pan nie sądził, że jestem starym paplą, albo co gorsze: oszczercą. Słuchajno kochany doktorze. Mühldorfer włożył w przedsięwzięcie ogromne kapitały, ale przeważnie pożyczone. Kredytem można operować nawet dość długo, ale nie w nieskończoność. Kredyt Mühldorfera zupełnie już wyczerpany i potrzeba mu koniecznie kilka milionów gotówki; ażeby je uzyskać, ubiega się o budowę nowej sieci dróg żelaznych we Francji. Współza wodników ma całe legiony; ubiegają się o całe konsorcya i potężni kapitaliści. Trzeba więc protekcyi i protektorów. Hr. de Rivalier może być takim protektorem poważnym, bo jest synem ministra komunikacyi, od którego właściwie wszystko zależy.

— Więc p. Mühldorfer chce sobie pozyskać protekcyę hr. de Rivalier?

— Nie panie, on ją chce kupić.

— Panie Dossenau, to posądzenie jest nikczemne.

— Nie tak głośno, młodzieniaszku. Dopóki nikt nie słyszy, mogę i ja nie dosłyszeć pańskiej zniewagi. Gdybyś pan mówił za głośno, nie mógłbym dozwolić, aby niedoświadczony młodzieniec znieważał moje siwe włosy. Żeby pana nie osłepiły księżycowe nocy nad wodospadem, tobyś umiał na wszystko patrzeć i wszystko zobaczyć. Hr. de Rivalier pochodzi z rodziny bardzo starożytnej i bardzo bogatej. Było to jego nieszczęściem, że miał bezdzietnego stryja, który mu zapisał kilka milionów. Ojciec, minister komunikacyi, nie znał widocznie swojego syna, skoro mu zostawił swobodę zarządzania odziedziczonym majątkiem. Szczęśliwy spadkobierca uwinął się ze spadkiem w ciągu lat czterech, wszystko stracił, a w ciągu następnych lat dwóch narobił tyle długów, że gdyby je ojciec jego zapłacił, skazałby siebie i rodzinę niemal na nędzę. Wtedy powiedziano mu, aby się ratował jak może. W takich razach bywa jedyny ratunek dla człowieka pięknego, o nazwisku arystokratycznym: sprzedać się, czyli szukać żony z milionami. I oto hr. de Rivalier przybył tu po miliony Mühldorfera, no a w dodatku także i po jego córkę. Mühldorfer spodziewa się zapłacić za protekcyę córką i posagiem, a hr. de Rivalier chce sobie okupić zabezpieczenie swej towarzyskiej pozycyi protekcyą użyczoną Mühldorferowi i poślubieniem zbyt wesołej córki ordynarnego dorobkiewicza.

Wolfgangowi krew uderzyła do głowy, zacisnął zęby i syknął:

— Dość tego! Możesz pan złośliwie wyrażać się o całym świecie, ale zabraniam panu wyrażać się lekceważąc o pannie Ellinor.

Wolfgang tak był oburzony, że już chciał zerwać się z miejsca i odejść od stołu, ale na szczęście powstałi wszyscy i rozchodzić się zaczęli. Wolfgang postanowił rozmówić się jaknajprędzej z Ellinorą, wyjaśnić całą sprawę, będąc pewnym, że wszystkie opowiadania Dossenaua są tylko niegodziwym oszczerstwem. Starał się zbliżyć do Ellinory, ale docisnąć się nie mógł, bo nietylko hrabia de Rivalier, ale cały rój wielbicieli, nie odstępował od jej boku. Chrzakał, dawał jakieś znaki, ale Ellinor niczego nie słyszała, ani nie widziała. Wolfgang postanowił wytrwać.

IV.

I wytrwał! Jak cień poruszał się koło grupy, która Ellinorę otaczała, a zawsze starał się stać naprzeciw niej i uporczywie się w nią wpatrywał. Widziała to Ellinor, lecz nporczywie udawała, że nie widzi; zaczęła ją to mocno gniewać, niecierpliwie, traciła swobodę, stawała się roztargnioną. Mimo tego postanowiła najzupełniej ignorować doktora. Byłoby się to może udało, ale inni zaczęli zwracać uwagę na zachowanie się Wolfganga, a znany z dowcipu inżynier, nie załował uszczypliwych dowcipów, które po części i Ellinorę dotykały. Zaczęto się uśmiechać coraz wyraźniej, nawet coraz głośniej. Ellinor szepnęła kilka słów hrabiemu i wybiegła do zimowego ogrodu, który przytykał do sali jadalnej. Wolfgang zniknął również i w zimowym ogrodzie szukał Ellinory. Stała pod jedną z palm, jakby czekała na niego; zobaczywszy ją Wolfgang — przybiegł, wyciąga ręce, jakby ją chciał przytulić do piersi, ale Ellinor wyprostowana, dumna, odrzuca go od siebie i zmierzyszy surowem wejrzeniem, powiedziała szorstko:

— Jak pan śmiesz kompromitować mnie wobec całego towarzystwa. To niegodziwie, to nikczemnie.

Doktor oniemiał.

— To jedno może pana po części tłómaczyć, że nie znasz zwyczajów wyższego świata i nie pojmujesz, że obowiązki towarzyskie nakazywały mi tak postępować, a nie inaczej.

Dotknięty do żywego ocknął się Dolmar z odrętwienia i miejsce zazdrości zajęła teraz uraza. To też spokojnie, ale stanowczo odpowiedział:

— Sądziłem, że wczoraj upoważniłaś mnie pani do tego, abym dziś z podziwem przypatrywał się jej postępowaniu z hr. de Rivalier. Nie chciałem się oburzać, wołałem się dziwić. Zdaje mi się, że dałaś mi pani prawo do tego, abym żądał wyjaśnienia. Zwyczaże towarzyskie znam dobrze, ale w żadnej sferze towarzyskiej nie mogłoby takie postępowanie, jak pani, pozostać obojętnem dla tego, który czuje jeszcze na ustach gorące pocałunki osoby, zalecającej się nowemu wybrańcowi.

Stanowczość i powaga Wolfganga przestraszyła Ellinorę. Widzi, że ten człowiek gotów upominać się o miłość, albo ją skompromitować pogardą. Lękała się skandalu. Trzeba Wolfganga ułagodzić i rozbroić. Więc zdobyła się na czarodziejski uśmiech rusałki i z tą samą zalotnością i figlarnością, co nad wodospadem, przemówiła do doktora, grożąc mu palcem kokieterji:

— Brzydki zazdrośniku. Jak mogłeś nastrojać się na ton tak tragiczny. Czy nie milej ci spotykać się z rusałką u wodospadu, a Ellinorę pozostawić przez dzień cały obowiązkom zabawiania gości? Możebyś wołał, aby rusałka innego poszukała sobie śmiertelnika, a w zamian za to ciebie rozmową w salonie zabawiła?

Wolfgang czuł przymus w tych słowach i w tej zalotności, więc broni nie składał.

— Miłość nie jest dla mnie igraszką, pojmuję ją poważnie, jak ją uczciwi ludzie pojmować zwykli. Dlatego proszę o stanowczą odpowiedź jak sobie mam tłómaczyć dzień wczorajszy. Jeżeli to prawda, coś mi wczoraj mówiła pocałunkami, to powtórz je teraz; powtórz je, a zapomnę o wszystkim, wszystko przebaczę i będę znowu szczęśliwy.

I wyciągnął ku niej ręce, chciał ją przycisnąć do siebie, ale ona zaśmiała się szyderczo:

— Ależ tu niema rusałki, tu nie grota czarodziejska. W tej chwili jest tu Ellinor Mühldorfer, która żąda dla siebie należnego uszanowania. Może być, że jeszcze kiedyś rusałka się zjawi, jeżeli śmiertelnik będzie grzeczny i roztropny. Może nawet prędzej, niż się spodziewasz, nieznosny zazdrośniku.

— Racz pani uwolnić mnie od żartów, rozmawiać ze mną szczerze i uczciwie.

Powaga Wolfganga, stanowczość, a szczególnie ostatnie słowa, z naciskiem wypowiedziane, rozdrażniły Ellinorę, więc z gniewem i niechęcią zawołała:

— Dosyć już tej nudnej rozmowy. Zakazuję panu zajmować się nadal moją osobą!

Spojrzała gniewnie i wybiegła. Wolfgang pannał do tej chwili nad sobą, ale teraz, gdy odbiegła, gdy mógł ją stracić na zawsze, owdlała nim rozbudzona wczoraj namietność, biegnie za Ellinorą, chce ją dopędzić. Ona ucieka szybko, pomiędzy krzewy ogrodu zimowego, dopada już do drzwi, ale tuż za nią Wolfgang zawołał:

— Ellinor! — i chciał ją przytrzymać. Ona krzyknęła:

— Pomocy! szalenie!

W tej chwili okazała postać hr. de Rivalier wyrosła jakby z pod ziemi.

— Szalenie! — powtórzyła Ellinor, wskazując na Wolfganga.

Hrabia chwycił doktora za ramię, ten go odrzuca; odrzucony hrabia uderza doktora tak silnie, że zachwiał się i byłby upadł niezawodnie, gdyby go nie były podtrzymały silne ręce Dossenaua, który niespodzianie nadszedł w tej chwili.

— Puść mnie pan — zawołał Wolfgang, odzyskawszy po chwili przytomność.

— Uspokój się doktorze, opamiętaj — mówił spokojnie Dossenau, ujawszy go pod ramię.

— Niech mnie pan nie rozdrażnia; w tej chwili gotów jestem nawet pana znieważyć, jeżeli natychmiast nie usuniesz mi się z oczu.

— Usunę się panu i zostawię cię w spokoju, gdy już odzyskasz zupełnie przytomność umysłu.

Mimo perswazyi Wolfgang wyrwał się i byłby rzeczywiście uniósł się gwałtownie, gdyby w tej chwili z terasy zamkowej nie był zabrzmiał srebrny głos Ellinory; Wolfgang spojrzał w tę stronę i dostrzegł, jak z wielkim przymileniem opierała Ellinor dłoń na ramieniu hrabiego i usłyszał, jak dziękowała mu czule za uwolnienie od pościgu szaleńca.